

Jeden z nich usiadł obok mnie i otoczył mnie ramieniem. Jego mundur pachniał potem i benzyną.

Powiedział, że ma brata. Dokładnie w moim wieku. Dlaczego – pomyślałem – nie miałby mieć brata? Jego dalsze słowa utonęły w warkocie silnika.

Dokąd jedziemy? Z pewnością oddalałem się od swojego celu.

Byłem już tak blisko – a przynajmniej tak mi się wydawało.

W grę wchodziła ucieczka. Ale jak miałem to zrobić?

Gdzieś tam czekał na mnie Achilles. Gdzieś zniknął jego znajomy z czarnego samochodu, który spłonął na poboczu. A ja jechałem nie wiadomo dokąd.

Ciężarówka zahamowała tak gwałtownie, że spadłem z ławki, uderzając głową o kolana siedzącego naprzeciw mnie żołnierza. Wszyscy zerwali się ze swoich miejsc, nie zwracając na mnie uwagi.

Podczołgałem się do kłapy i odsłoniłem brezent. Uderzył mnie zapach benzyny, a gorące powietrze sprawiło, że zacisnąłem powieki.

Teraz! Założyłem plecak, przez drugie ramię przerzuciłem skórzany pasek przewleczony pod pudłem katarynki i zeskoczyłem na ziemię.

Biegłem w stronę kępy drzew, a w uszach dzwonił mi huk wystrzałów.

Przywarłem policzkiem do chropowatej kory najbliższego drzewa.

Sylwetki żołnierzy na tle ściany ognia były czarne, zupełnie jakbym uczestniczył w spektaklu teatru cieni.

Strach mnie paraliżował. Osunąłem się na ziemię i przyciskając do piersi Pana Turlutu, modliłem się, aby stać się niewidzialnym.

Wystrzały, płacz kobiet, krzyk dzieci zlewały się w upiorny zgiełk.

„Mam brata takiego jak ty” – przypomniałem sobie słowa żołnierza.

Nie – postanowiłem. – Nigdy nie zrozumieję tego, co się dzieje. A potem odwróciłem się i pobiegłem przed siebie.

Nikt mnie nie gonił. Zapewne nikomu nie przyszło do głowy, że mogłem uciec. Pan Turlutu, siedząc na moim plecaku, trzymał mnie rączkami za uszy, tak jak trzyma się za uzdę konia. Pudło katarynki obijało mi się o nogi, ale biegłem, byle jak najdalej, jak najszybciej.

Potykałem się o korzenie i kamienie, nie myśląc o zwierzętach, które mogły zaić się w lesie.

Zwierzęta. Zatrzymałem się z trudem, łapiąc oddech. One także musiały się bać. Przecież z reguły boją się ognia i hałasu. Zatem byłem bezpieczny.

Nagle przyszli mi do głowy Cezar i czarna pantera, i pasący się na łące wielbłąd. Nie chodziło o to, że zacząłem bać się właśnie lwa czy pantery. Po prostu rozumiałem, że one też muszą odczuwać strach. Że cały świat działa w taki sposób, że każdy czegoś się boi.

Strach.

Złapał mnie za gardło, kiedy biegnąc, wpadłem w stojącego na mojej drodze człowieka. Miał na sobie płaszcz, spod którego wystawały wysokie buty.

– Co tu robisz? – zapytał.

Byłem tak przerażony, że nie mogłem wykrztusić słowa.

A on patrzył na mnie, na katarynkę i na Pana Turlutu, tak jakby nagle zobaczył kogoś kto... uciekł z cyrku.

– Skąd się tu wzięłeś? – powtórzył już nieco ciszej i spokojniej. Wskazałem ręką za siebie.

– Tam już nic nie ma – westchnął. – Wszystko... spalone. Pokiwałem głową. Przytulił mnie do siebie.

Pewnie myślał, że uciekłem stamtąd, co w sumie nie było do końca niezgodne z prawdą. Szedłem obok niego wolny od ciężaru katarynki, którą zdjął z mojego ramienia.

Co myśli? – zastanawiałem się.

Że uciekając z płonącego domu, zabrałem ze sobą to, co uważałem za najcenniejsze?

Strzelanina powoli cichła, ale wiatr nadal niósł ze sobą zapach spalenizny.

– Zaczekaj – mężczyzna położył katarynkę na ziemi, pochylił się i oburącz podniósł jakiś właz. – Schodzimy – rzekł, puszczając mnie przodem.

Miejsce, w którym się znalazłem, było dziwne. Zupełnie jakby ktoś wykopał w ziemi ogromną jamę, podparł jej ściany grubymi balami i wyłożył podłogę deskami.

– Znalazłem go w lesie – powiedział mężczyzna.

W bladym świetle częściowo osłoniętej papierem latarki dostrzegłem kilku innych siedzących na ziemi. O ściany oparte stały karabiny.

– Jak się nazywasz? – zapytał któryś z ludzi. Ale pomimo tego, że chciałem się odezwać, gardło miałem ściśnięte, zupełnie jakby ktoś ścisnął je dłonią.

Mężczyzna, który mnie tu przyprowadził, sięgnął po mój plecak. I, jak można się było tego spodziewać, wyjął książkę.

– No proszę – powiedział. – Kogo tutaj mamy.

Potrząsnąłem głową.

Otworzyłem kieszeń plecaka i wyrzuciłem na ziemię kartki z moimi przepowiedniami. Pan Turlutu, widząc zwinięte papierki, błyskawicznie rzucił się i chwycił jeden z nich. A potem wyciągnął rękę w stronę mężczyzny.

Ten rozwinął papierek, przebiegł po nim wzrokiem i przeczytał zdumiony:

– *Strach odejdzie, wszystko przejdzie.*

Pan Turlutu zaklaskał w dłonie.

– Niemowa, tak? – padło pytanie.

Co mogłem zrobić? Po prostu milczałem.

Wiedziałem, co sobie myśli. Chłopiec niemowa wędruje ze swoją małpką i zarabia na życie grą na katarynce...

Wyjąłem z plecaka zeszyt i ołówek.

„Mam na imię Julian. Moja rodzina jest w Warszawie – napisałem. – Muszę się do nich dostać”.

Mężczyzna przeczytał, co napisałem.

– No dobrze, wszystko jasne. Ale skąd się tutaj wzięłeś?

„To długa historia” – odpisałem.

Poczochnął mi włosy. Dokładnie tak, jak robił to mój ojciec. Sam nie wiedziałem, jak to się stało, że pociekły mi z oczu łzy.

Płakałem bezgłośnie, a szloch rozrywał mi piersi.

– Cicho, dzieciak, cicho – szepnęła mężczyzna.

Pan Turlutu spoglądał na mnie zaskoczony. Być może nigdy w swoim życiu nie widział nikogo, kto płacze. A może ci inni płakali głośno, wyrzucając z siebie żal, smutek czy gniew.

Chustka, którą podał mi mężczyzna, pachniała tytoniem i faktycznie były na niej okruchy tytoniu. Wytarłem nos.

Ktoś rzucił na deski koc, ktoś inny zrolował sweter.

– Prześpij się, dzieciak.

– A możeś głodny? Dajcie dziecku, co macie.

Pokręciłem głową.

– Wody może?

Ktoś zdjął mi buty i postawił jeden obok drugiego pod ścianą, ktoś narzucił na mnie płaszcz.

Tej nocy śniło mi się, że jestem w domu. Nie przeszkadzało mi pochrapywanie śpiących obok. Przeciwnie. Gorsza byłaby cisza.

Skoro spali tak spokojnie, miejsce, w którym się znajdowaliśmy, musiało być bezpieczne. Dobrze ukryte.

Czułem przez sen, jak Pan Turlutu wierci się obok mnie, szukając najwygodniejszej pozycji. Nie musiał bać się niczego.

Kiedy otworzyłem oczy, długo przypominałem sobie, jak znalazłem się w tym miejscu. Nadal zdawało mi się, że jestem w domu.

Dokoła panował półmrok. Prawda – pomyślałem. – Jestem pod ziemią. Znałem już podobne miejsce, u mojego wuja w ogrodzie, i przez chwilę bałem się, że wuj pojawi się wśród nas. Ale nic podobnego się nie stało.

Usiadłem i rozprostowałem ramiona.

Co to za dziwny czas, że ludzie jak zwierzęta muszą kopać sobie nory i kryć się pod ziemią.

– Wyspałeś się, dzieciak?

Wydałem z siebie niezrozumiały pomruk.

Czy straciłem głos, czy bałem się odezwać, aby nie przekonać się, że właśnie to nastąpiło?

– On Julek ma na imię – powiedział ktoś. – Tak jak ten, jak mu tam... Słowacki.

Juliusz – chciałem go poprawić. Juliusz Słowacki. Nie Julian. Ale jak matka wołała go do domu na obiad, to pewnie nazywała go Julkiem.

Tymczasem mieszkańcy ziemianki zastanawiali się, co ze mną zrobić.

– Nie będę ciągał chłopaka po lesie – powiedział ktoś. – To nie zabawa.

– Chłopaka i małpy – dodał ktoś inny.

– Chłopaka i małpy – powtórzył pierwszy.

– Ja bym go zaprowadził do wsi – padła kolejna propozycja. – Słuchaj no – zwrócił się do mnie – jak twoja rodzina jest w Warszawie, to jak się znalazłeś tutaj?

Sięgnąłem po zeszyt i ołówek.

„Zgubiłem się” – napisałem.

Popatrzyli na siebie. Ja też nie wiedziałbym, co zrobić.

– Zaprowadzimy cię do wsi. Z nami nie jesteś bezpieczny.

Pokiwałem głową.

– Ty – jeden z mężczyzn wskazał na drugiego – zaprowadzisz dzieciaka do wsi. Rozgarnięty jest, to sobie da radę.

– Ale... – zaczął tamten.

– Rozkaz – słowo było krótkie i jasne.

– Tak jest – odparł tamten, choć bez przekonania.

Dostałem pajdę chleba i kawałek wędzonego boczku. Kiedy zjadłem – starałem się zrobić to jak najszybciej – mój nowy opiekun podniósł katarynkę i podszedł do drabiny.

Powinienem był im podziękować, ale nadal bałem się, że nie wyduszę z siebie ani słowa. Więc tylko rozciągnąłem usta w uśmiechu.

– Powodzenia, mały – ten od rozkazów poklepał mnie po plecach.

W lesie było cicho, tylko od czasu do czasu odzywały się ptaki, a w powietrzu unosił zapach benzyny i dymu.

Chyba już nigdy nie polubię ognisk i pieczonych ziemniaków... A zapach benzyny przestanie mi się kojarzyć z wyjazdami za miasto.

Spojrzałem pod nogi. Z mchu wyrastał dorodny prawdziwek. A obok niego drugi, i trzeci, i czwarty.

Mój towarzysz odwrócił się.

– Teraz nie czas na grzybobranie – powiedział, ale w jego głosie czułem dalej ten brak pewności, albo raczej coś nieskończenie smutnego.

W podobny sposób mówił Marcin, kiedy nadchodził czas, aby wracał do siebie, do domu. To znaczy do ciasnej stróżówki.

Niechętnie poszedłem dalej.

Gdyby wszystko było normalne, zbierałbym te grzyby, ucinając je szczyrykiem równo przy ziemi. Potem oczyściłbym je z resztek igliwia, pociął na kawałki i nawłókł na grubą lnianą nitkę. I siadając do Wigilii, zastanawiałbym się, czy to przypadkiem nie moje grzyby pływają w barszczu.

Czy kiedykolwiek będzie Wigilia? – myślałem. Bo wszystko, dokładnie wszystko było inaczej.

Pan Turlutu, moje marzenie sprzed lat, siedział na moim ramieniu, rozglądając się dokoła. Nikt nie pytał mnie, czy umyłem zęby, ani nie wkładał w rękę grzebienia, abym – jak mówiła babcia – nie wyglądał jak strach na wróble.

Więc było inaczej.

Las rzednął. Po drodze zerwałem parę dorodnych jeżyn. Miały dziwny gorzko-słodki smak. Jakby przyroda nie potrafiła zdecydować się, jakie mają być. Cierpkie czy słodkie? Gorzkie czy kwaśne?

To tak jak świat nie potrafił zdecydować, czy jest nadal piękny, czy groźny.

Kiedy wyszliśmy na piaszczystą dróżkę, znałem odpowiedź.

Świat jest dokładnie taki jak pantera, którą zobaczyłem w lesie. Piękny, a jednocześnie straszny.

Jeżeli w porę zdołamy się ukryć, będzie piękny. A jeśli nie – to straszny, co w jednej chwili pojęło stadko saren.

Wieś wyglądała zupełnie tak, jakby narysowało ją dziecko. A właściwie trudno było nazwać to miejsce wsią. Trzy niewielkie chałupy, każda ogrodzona drewnianym płotem. Za jednym z nich koza. Za drugim pies.

Weszliśmy tam, gdzie nie było ani psa, ani kozy.

– Przyprowaździłem chłopaka – powiedział mój towarzysz.

– Nie – padła krótka, zdecydowana odpowiedź.

– Zgubił się. Na dodatek niemowa.

– Nie – powtórzyła stojąca w progu kobieta. Była... duża. Inaczej nie potrafię jej opisać. Przy jednej z jej wielkich piersi spało niemowlę.

Wiedziałem, że dorosłe kobiety mają piersi, bo zdążyłem obejrzeć album ze zdjęciami greckich posągów, ten sam, który ojciec trzymał na najwyższej półce w swojej bibliotece. Obejrzelismy go razem z Marcinem i to on był tym, który zdjął go z półki.

Ale takich wielkich piersi jeszcze nie widziałem. Nie zasłoniła ich na mój widok. Miałem wrażenie, że wypełnia sobą

drzwi, i wiedziałem, że nie wpuści mnie do domu. Zresztą chyba tym tego nie chciał.

Spojrzała na mnie, a jej twarz nieco się rozpogodziła.

– Może tam – powiedziała, wskazując głową obejście z psem.

– On sam, dzieci nie ma.

Gospodarz sąsiedniej zagrody był stary. Jego twarz przypominała pomarszczone jabłko. Ogromny jak u klauna nos zasłaniał usta.

– A niech zostanie – z rezygnacją machnął ręką.

Jego pies był mniej gościnny. Odślonił zęby i zawarczał, ale nie zbliżył się do mnie.

Niech zostanie. „Zostać”, „zaczekać”. To były dwa słowa, które towarzyszyły mi od początku mojej wędrówki. Tak jakby w życiu były ważne tylko te dwie czynności. Posłusznie zostawałem i równie posłusznie czekałem. W międzyczasie spałem i jadłem, no i jeszcze to, o czym się nie mówi przy ludziach.

Kiedy opuszczałem dom wujostwa, wydawało mi się, że to będzie takie proste. Nie wziąłem pod uwagę, że stanie się coś, co pokrzyżuje moje plany. Że najprostsze rzeczy nagle staną się tymi najtrudniejszymi.

Mężczyzna, który przyprowadził mnie na niewielkie podwórze, odszedł i zostałem sam. Usiadłem na ławeczce pod ścianą domu, a staruszek postawił obok mnie kubek wody zaczerpniętej ze stojącego przy studni wiadra.

Gdyby obok mnie była matka, z pewnością usłyszałbym coś na temat picia nieprzepracowanej wody i wynikających z tego niebezpieczeństw.

Ale po pierwsze, nie było jej, a po drugie, tak bardzo chciało mi się pić, że było mi wszystko jedno, co pływa w moim kubku i kiedy ostatnio ktoś go porządnie umył.

A woda smakowała tak...

Chyba tak jak wędrowcom na pustyni.

Gospodarz niewielkiego domku z pewnością nieczęsto gościł kogokolwiek pod swoim dachem.

A ja byłem zbyt dobrze wychowany, żeby ot tak sobie zacząć czuć się jak u siebie. Nie zaproponował mi wejścia do środka i nawet pies stracił zainteresowanie moją osobą, toteż podłożyłem pod głowę plecak i wyciągnąłem się na ławce.

Pomyślałem, że nawet jeśli przyjdzie mi spędzić noc pod gołym niebem, najgorsze, co może mi się przytrafić, to chłód. Przypomniałem sobie o jabłku, które nadal miałem w plecaku. Nie było już tak piękne jak kilka dni temu. Na jednym boku pojawiła się miękka brązowa plama, a skórka straciła blask i zaczęła się lekko marszczyć.

Wyjąłem z kieszeni scyzoryk i odkroiłem kawałek, podając go Panu Turlutu. Sam wziąłem drugi.

Prawdę mówiąc, wyglądało lepiej niż smakowało.

Sięgnąłem po książkę.

Nie była to najlepsza lektura na ten czas. Baśnie, kiedyś tajemnicze i nawet trochę zabawne, nagle wydały mi się po prostu przerażające. Las stał się miejscem, gdzie pod kapeluszkami muchomorów czaiły się brodate i wcale nie dobroduszne krasnale...

Kiedy słońce przesunęło się na drugą stronę domu, staruszek pojawił się na podwórzu i postawił na ławce miskę z kaszą i znany mi już kubek, tym razem z kwaśnym mlekiem. Odłożyłem parę łyżek kaszy na ławkę, a Pan Turlutu natychmiast zabrał się za jedzenie. Zauważyłem, że wcale nie był wybredny, zatem za dawnych czasów też nie podawano mu specjalnych frykasów.

Po skończonym posiłku wstałem, aby rozprostować nogi.

Parę razy poruszyłem wargami i wreszcie udało mi się wyszeptać moje imię. A potem powtórzyłem je trochę głośniej. Ale nie szło mi to tak jak przedtem, zupełnie jakby coś się we mnie, w środku, zepsuło.

Tak jakbym nie potrafił sobie przypomnieć, kim jestem.

Czy Julkiem, który uciekł od wuja – jak głupi wydawał mi się teraz mój uczynek – czy Julusem Holtzem – co oceniałem jako paskudne wyparcie się swoich rodziców. Czy po prostu sobą – sobą w środku czegoś, z czego nie można było się wyostać. Pociuszające w jakiś sposób było to, że nie znajdowałem się tam tylko sam jeden. I – co dziwiło mnie bardzo – dorośli także wydawali się nie wiedzieć, co robić.

Jako że staruszek nadal nie zaprosił mnie do domu, obszedłem cały ogród, a pies – który wcale nie był aż tak groźny, na jakiego wyglądał – towarzyszył mi, zachowując bezpieczną odległość.

Zrozumiałem, że chyba bał się Pana Turlutu. Pewnie nigdy w swoim psim życiu nie widział małpki, a gonił po podwórku tylko kury i koty.

Zaś Pan Turlutu, który psy znał z cyrku – te tresowane, które ciągnęły wózciki albo biegały na dwu łapkach z parasolkami – nie był nim zainteresowany. Może gdyby umiał myśleć, zacząłby się zastanawiać, dlaczego ten nie zna żadnych sztuczek?

Zajrzałem do kurnika, do niewielkiej obórki, policzyłem stłoczone w klatkach króliki.

Kiedy zbliżałem do kratki palec, poruszały różowymi nosami, a jeden nawet próbował mnie ugryźć.

Tu zastał mnie gospodarz domu.

– Myślałem, żeś sobie poszedł – powiedział z takim wyrazem twarzy, że nie mogłem odgadnąć, czy byłaby to dla niego dobra, czy zła wiadomość.

Rozłożyłem ręce.

Ruchem głowy nakazał mi, abym udał się za nim.

W sieni pachniało... znałem ten zapach dobrze, wilgoć i kiszona kapusta. Taki zapach miały ubrania Marcina. Moja matka wieszała je przy drzwiach, żeby – jak mawiała – nie pachniały na cały dom.

I właśnie jej syn, który po każdym brzydkim słowie musiał myć usta szarym mydłem, wchodził w krąg kapuścianego piekła.

Staruszek co rusz spoglądał podejrzliwie na Pana Turlutu, aż w końcu zapytał, co to takiego.

– Małpka – odpowiedziałem swoim – nie swoim głosem.

– A ja myślałem, że to jakiś dzieciak, taki dziwny – zachichotał. Wyciągnął rękę i podrapał Pana Turlutu pod brodą.

– A bo tak wygląda – powiedziałem. – Mówią, że człowiek pochodzi od małpy.

Staruszek cofnął się i splunął przez lewe ramię. A potem spojrział na wiszące obok kuchennego pieca lusterko i pokręcił głową.

– A może, może – mruknął.

Zakrzętnął się przy kuchni i wskazał na stojącą pod ścianą ławę.

– Taki miejski paniczyk – powiedział – twardo będzie, co?

– Nnie – zająknąłem się. – Będzie dobrze.

Przyniósł skądś pachnący wilgocią kozuch i położył go na deskach.

– Na – postawił przede mną miskę pełną zimnych ziemniaków z na pół spalonymi skwarkami.